Nr. 32. We Lwowie dnia 8. sierpnia 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

†

ADAM ASNYK.

Umarł największy współczesny pieśniarz polski, a jeden z wielkich poetów świata, jeden z tych ludzi, którzy od razu dominujące w społeczeństwie zajęli stanowisko i stanowisku temu całem swem życiem następnem odpowiedzieli godnie i wspaniale.

Kiedy przed kilkoma zaledwie miesiącami w uroczysty obchodzono sposób trzydziestą rocznicę twórczej działalności El...y'ego, nie przypuszczano, że tak prędko zniknie nam z oczu ta postać tak charakterystyczna, że tak prędko odbiegnie nas dusza podniosła i czysta, że tak prędko zamilkną struny lutni, do ostatnich niemal dni z nieosłabioną rozbrzmiewające potęgą. Uciszyło się na wieki serce, które zawsze było z temi, „co chcą polepszyć ziemski los i przynieść szczęście tej ziemi". Zagasł wzrok, umiejący przez mgły i tumany dzisiejszego życia, pełnego zwątpień i braku wiary w ideały ludzkości, dostrzegać blaski nowej jutrzni, promieniste fale nowych zórz. Nie zobaczymy już kapłana, który w proroczem natchnieniu, „błogosławił nowym życia dniom: nie ujrzymy już wędrowca, co krocząc drogą cierniem zasłaną, śród tłumu zgnębionych, „pełnych skarg i łez", „pozdrawiał pokoleń przyszły ród", nowe dla niego wykreślając tory. Nie ujrzymy już kochanka poezji, wiernego natchnieniom, „coby w życia zdroju ukazywały nową piękną stronę, któreby naprzód biegły, w każdym boju pokrzepiać serca słabe i zmęczone". Poszedł od nas siewca „kwiatów, pełnych woni", siewca, co, choć nieraz miewał chwile goryczy względem otaczającej go obojętności tłumów, miał przecież tę pewność, że posiew jego nie pójdzie na marne, że zostawi myśl po sobie i że za tę myśl, po „śmierci kochać go będzie chłodna, milcząca rzesza".



Nie zawsze jednak rzesza ta była dla niego obojętną; a jeżeli już dzisiaj, zaledwie w kilka dni po jego zgonie, wielkie widzimy dowody miłości, otaczającej jego trumnę, składającej zwłoki jego w grobie zasłużonych obok najlepszych w narodzie, to miłość ta towarzyszyła mu niejednokrotnie i za życia, a bywała hołdem, oddawanym nietylko pieśniarzowi, ale i prawdziwemu obywatelowi. Imię Adama Asnyka, sądząc po kilku wydaniach jego utworówpopularnem było w znacznej części naszego społeczeństwa, jakkolwiek rozgłos swój nie zawsze zawdzięczało tym wiekopomnym kreacjom jego ducha, które go stawiają w rzędzie najpierwszych w umysłowym pochodzie świata. Z narodów obcych najlepiej znali go Czesi, a obok nich nie małą posiadał on sławę śród Niemców.

Urodzony w Kaliszu (24. października 1838), miał lat dwadzieścia, kiedy w Warsza-

wie przygotowywały się krwawe wypadki styczniowe, mające na politycznem i umysłowem życiu naszem tak niezatarte dotychczas wycisnąć piętno. O ile rozbudzony młodzieniec, bawiący wówczas na studjach lekarskich w stolicy Polski, brał udział w przygotowaniach powstania, wyjaśni to historyk jego życia; nie ulega jednak wątpliwości, że Asnyk pozawierał stosunki z najgorętszą młodzieżą, że dążenia młodzieży, którą margrabia Wielopolski celem ostudzenia jej zapałów pakować chciał w szeregi moskiewskie, nie były mu obcemi. Jak zapewnia jeden z wielbicieli zgasłego poety, p. Ant. Kleczkowski, należący do najbliższego jego otoczenia, uczestniczył ówczesny uczeń warszawskiej akademji medyko-chirurgicznej w głośnych demonstracjach kościelnych, za co przez kilka dni przesiedział w areszcie. Bezpośrednio przed wybuchem wielkiego płomienia nie było go jednak w Warszawie, bawił w Niemczech, na wszechnicy heidelberskiej. Tutaj w gronie znajomych i przyjaciół nie przestawał śledzić, co się dzieje w kraju, zwłaszcza że już tutaj przestała go nęcić medycyna, a gorąco zajmować go jęły wszystkie objawy życia społeczno-politycznego, objawy, które w Polsce, a specjalnie w zaborze rosyjskim przybierały charakter rozpalonych ognisk nowych haseł, nowych prądów, zmierzających do wyswobodzenia uciemiężonego narodu. Ażeby otrzymać krwawy chrzest prawdziwego syna ojczyzny, pospieszył Asnyk na wieść o rozpoczęciu walki orężnej do Królestwa, a piękna musiała być pamięć po nim w Warszawie, jeżeli dwudziestopięcioletniego młodzieńca powołano od razu w skład rządu narodowego (za dyktatury Traugutа).

Rok 1863, tak oplwany przez ludzi „trzeźwych“, musiał w umysłowości wrażliwego poety potężne wyryć ślady. Można śmiało powiedzieć, że zadecydował on o całym jego kierunku pracy twórczej, bo choć nastąpiły później czasy, gdzie Asnyk wyrywał się z wiru wyobrażeń, uczuć i dążeń, wywołanych powstaniem styczniowem, i zatapiał się czy to w własnem „ja“, czy też w zagadnieniach ogólno-ludzkich, to przecież myśl jego, jakby pod wpływem jakiejś siły magicznej, wciąż się ku niemu zwracała czy to z wyrzutem i rozpaczą czy też z protestem przeciw historykom i politykom, nie wahającym się, zamiast dozwolonej krytyki, najhaniebniejsze na rok ten rzucać oszczerstwa

I dla niego rok 63 był rokiem nieszczęścia, którego „krwawych śladów nie zatarły ruchliwe fale czasu“, pomimo, że od chwili bohaterskiego perjodu, ćwierć upłynęło wieku. I dla niego rok ten „cięży nad nami i z przyszłości mroku przez lat szeregi kroczy, widmo blade, wlokąc za sobą, jak całun zagładę“. I dla niego rok ten jest pełnym grzechów, za które „Polskę z mieczem w dłoni z szat obnażono jak jawnogrzesznicę“ i „z idei ją chciano odrzeć do ostatka, jakby to była nie ich własna matka“. I dla niego po ruchu styczniowym pozostały nam w spadku: „grzeszne ofiary i grzeszniejsza skrucha, bunt tych, co widząc mdlejące już ciało, śmieli doradzać samobójstwo ducha i więzy, które mocniej się nam wpiły i łzy palące... i wstyd... i mogiły...“ Pomimo to jednak wie on, że rok ten był „duchową potrzebą narodu, był uprawnionym orężnym protestem przeciw niesłychanej krzywdzie dziejowej, wyrządzanej Polsce. Wie on, że rok ten był dzieckiem epoki, która „ku zmartwychwstaniu stale naprzód biegła“, która „w lada koniuszym lub dworskim lokaju“ nie upatrywała zbawcy ojczyzny, epoki, w której „Polska nie umiała przybierać postaci gadu, co się u stóp czołga“, woląc raczej, aby synowie jej ginęli w kopalniach sybirskich, aby jej dzieci najkrwawsze ponosiły ofiary, aniżeli zniżyć się do „wchodzenia w konszachty z wrogiem, do stawiania złotych mostów pojednania, do nazywania zdrajców ojczyzny mężami stanu“. Wie on, ze epoka ta mimo niejednej klęski, wspanialszą była od doby dzisiejszej, tej z obliczem „nieubłaganem, lodowatem, chmurnem:‘, tej, której „religja, dziką tchnąca grozą, drapieżniejszej siły jest apoteozą“. Ta wiara w wyższość czasu minionego, czasu romantycznych wzlotów, nietylko w dziedzinie poezji ale i w życiu społecznem i politycznem narodu, musiała napełnić serce poety goryczą, zwracającą się przeciw tym, którzy epokę tę plugawią, lub na miejscu żywotnych wówczas haseł prometejskich stawiają marne obliczenia i kombinacje handlarskie: „nie możem bez goryczy patrzeć, jak chcieli ślad przeszłości zatrzeć — mówi poeta do tych „nowych ludzi“, którzy wchodzą „z prądem dziejowym w przymierza, biorąc w rachubę instynkt i moc zwierza“.

Tak się zapatrywał śp. Adam Asnyk na powstanie styczniowe i na jego sędziów w dwadzieścia pięć lat po rozegraniu się tej ostatniej krwawej tragedji porozbiorowych dziejów naszych, z tem zapatrywaniem zeszedł też do grobu, choć myśl o idei bohaterskich poświęceń nie odwodziła go bynajmniej od tej drobnej mrówczej pracy, niezbędnej dla cywilizacyjnego rozwoju narodu, będącego koniecznym dalszego życia warunkiem: wszakżeż umarł prezesem Towarzystwa szkoły ludowej, której losami aż do ostatniej chwili serdecznie się zajmował.

Po upadku powstania styczniowego, zmuszony uciekać z ziemi, napojonej krwią naj- najszlachetniejszej części narodu, Asnyk nie wrócił od razu do Heidelbergu, aby przerwane kończył studja, ale czas jakiś przepędził w podróży po Niemczech, Szwajcarji i Włoszech.

Tutaj też powstała zapewne przeważna część utworów, zawartych w pierwszym jego tomie, a nacechowanych bezbrzeżnym smutkiem, melancholją, a nawet rozpaczą z powodu zajść ostatnich.

Płynąc po zatoce w Baja, ma przed sobą niedaleką przeszłość, z której wraz z innymi wyrwał się „Niobidami“, ażeby u starego dziejowego przystanąć cmentarza, po pod fryzem, odartym z żałoby „ciężące pochylić już głowy“, aby „z własnego wracając pogrzebu“, schronić się pod skrzydła bladej Hekaty i w Erebie, za brzegami Acherontu spotkać się z błądzącemi cieniami braci. Na próżno dusza poety zbacza w dziedzinę zagadnień estetycznych, naprónżo zatapia się w fali myśli ogólno-ludzkich, filozoficznych i społecznych, pytając się razem z Julianem Apostatą, jaki będzie los świata, zgromadzonego pod znakiem Chrystusowym, — „czy w imię tego czarnego krzyża świat się nie splami krwi strugą i wiara, co dziś niebo przybliża, ciemności nie będzie sługą“. Napróżno poeta szuka ukojenia w ekstazie ascetycznej, duszę swoją zamykając w Zbawicielu. Napróżno snuje pieśń uwielbień dla babilońskiej Aszery, patronki zmysłowych wzlotów. Napróżno pogrąża się w rozmyślaniach przed odłamem Psychy Praksytelesowej, w rozmyślaniach o różanym Olimpie, o czci dla cielesnych rozkwitów, o harmonji myśli, „wszędzie władnącej i bryły w jasny wkładającej porządek, o „dwóch dźwiękach złotych, chwale i wolności“, o „boskim płomieniu, wybuchającym z Golgoty“, o „pogasłych tęczach“, o „tentencie barbarzyńców, który skłócił pogodę starożytnego świata; napróżno, apostrofując „kamienną siostrę“, pociesza się, że „mirty zakwitną, powrócą motyle“, że „miłość przyjdzie zwiastować jej o wiosnie“: — serce, otrzymawszy ciężką ranę wskutek zawiedzionych nadziei narodowych, ciągle się krwawi, a wezbrana boleść znajduje upust przedewszystkiem w mistycznego uroku pełnych, melancholijną grozą owianych obrazach, „Snu grobów“. Opowiada tutaj poeta słowami o kolorycie Danta i Słowackiego, o swojej wędrówce w „posępną nocy krainę“, gdzie władnie jedno „nic“, wielkie, uroczyste, „co się nie błyska nawet i nie chmurzy“, a wędrówkę swoją przeplata złorzeczeniami przeciw „bezgłowym karłom i „prochom podłym“. przeciw ludziom, którzy śród szyderstw słusznego wrzasku do swych poziomów wszystko zniżyć pragną“.

Taki w najogólniejszych zarysach jest nastrój poety w pierwszej dobie jego twórczości, nastrój smutny, nieraz przepojony rozpaczą, a w kwestjach społeczeństwo obchodzących, po za ogólnie wyrażonemi uczuciami, nie formułujący pragnień i dążeń piewcy w sposób, właściwy późniejszym jego poezjom.

Skończywszy — po odbytych powyżej wzmiankowanych podróżach — studja w Heidelbergu, przyjechał Asnyk z tytułem doktora filozofji do Lwowa (1865), gdzie po erze germanizacyjnej, centralistycznej swobodniejsze zaczęło zakwitać życie. Aspiracje narodowe miały jakie takie pole rozwoju i bądź co bądź, po bitwie pod Sadową, doznawały pewnego zadowolenia. Poetę przestał jednak zajmować otaczający go świat zewnętrzny, zawody styczniowe zjadły jego siły, uczyniły go obojętnym na sprawy publiczne, talent, wyczerpawszy się w kierunku, który bólem mózg wysusza i ostatecznie ubezwładnia serce, zbyt żywo czujące, zwrócił się ku szukaniu nowych dróg i zawiódł pieśniarza do małego domku własnego „ja“, do kapliczki uczuć mniej górnych, uczuć, z których powstają cacka artystyczne, ale nie dzieła o przewódczej mocy, zrodzonej z cierpień i radości ogółu, z jego nadziei, z jego pragnień, z jego rozczarowań, z jego wzlotów i upadków. Opiewanie miłostek czy miłości w wierszykach niewątpliwie wdzięcznych, śliczną posiadających formę, zaprawionych bądź to pewnym odcieniem sentymentalizmu bądź też hejnowską ironją, oto główny dorobek z tej drugiej doby twórczości El.,.y'ego.

Niebawem jednak duch poety do pierwotnych powrócił natchnień, na strunach jego lutni zabrzmiała znowu pieśń, mająca w sobie zarodki tych sił, z których ojczyzna czy ludzkość buduje sobie gmach lepszej, doskonalszej przyszłości. W śpiewaku, na chwilę oszołomionym haszyszem uczuć, na których temat wysnuto już tyle tkliwych i ckliwych dźwięków, obudził się potężny Herakles wyruszający na oswobodzenie płomienistego Prometeja. Miejsce „cichej spowiedzi“ serca zajęło tytaniczne pragnienie poetyckich wybuchów, choćby przy ich ogniu serce spalić się miało z boleści. „Endymionizm“ zluzowany został przez prometeizm; szukanie wrażeń pomiędzy niezabudkami i bławatkami zeszło z drogi potężnej chęci wyruszenia na bój, ażeby „śpiące wyswobodzić bóstwo, aby moc życia tchnąć w „zaklętą królewnę“, marzenia o miłosnych pieszczotach przygłuszyły czy to z gorącego serca płynące wyrzuty, miotane na „frymarczącą Messalinę“ na „cień bladego Baru“, który się powinien przekształcić w potęgę „sen Grachów“ w czyn „zamieniającą“. czy też wielką wiarą i nadzieją uskrzydlone pieśni o wszechmocy wciąż naprzód dążącej myśli ludzkiej, o tej „wiedzy jasnej pochodni, którą nieść powinni młodzi“, i o ludzie, który ma stać się urzeczywistnieniem snów wielkich proroków, który ma stać się wyswobodzicielem uciemiężonej ojczyzny.

Ale odtrąciwszy samolubną boleść od siebie, pozbywszy się sceptyzmu w osądzaniu podniosłych dążeń ludzkości, dążeń, którym wiek

nasz dał i daje wyraz zbiorowy w ruchach ludowych, nie od razu stanął poeta czysty i nowym a właściwie zmartwychwstałym w jego sercu ideałom bezwzględnie się poddający, cierpienia osobiste i w tej epoce jego twórczości znalazły swój wyraz, ale wyraz szlachetniejszy, podnioślejszy. Boleść z powodu zawiedzionej miłości, tęsknota do opuszczonego ogniska rodzinnego, żal za utraconą wiarą dziecięcą stanowią niejeden motyw jego pieśni, nie zabijają w nim atoli przeświadczania o niezniszczalności szlachetnych pierwiastków, zawartych w świecie, co najwyżej przybierają melancholijny wyraz rezygnacji.

Altruizm tak się rozgościł w duszy poety, że nie było już siły, któraby mogła z niej wyprzeć miłość do ludzi i miłość przyrody, a do świątyni jego wnętrza wprowadzić znowu bóstwa nienawiści lub sytego zobojętnienia. Nie przeklinał już poeta, lecz błogosławił: „rozkazując sercu, aby się uciszyło, błogosławił „nowym życia dniom"; gdy opuszczało go szczęście, nie złorzeczył, ale jak prawdziwy przyjaciel ludzkości, znajdował pociechę w myśli, że zdrój czystych uciech będzie innym szumiał i inne serca poił swą słodyczą".

A kiedy od czasu do czasu wracała gorycz do niego, wypływająca z obserwacji stosunków życiowych swego społeczeństwa, stosunków, które radby był ukształtować w duchu swych marzeń idealnych, wówczas tulił się do piersi Przyrody, dla takich umysłów, jak śp. Asnyk, zawsze w sobie macierzyńskie mającej ukojenie. Jako pieśniarz Przyrody, stanął zmarły w rzędzie pierwszorzędnych geniuszów świata. Zdarzało się i jemu, że obrazów natury używał jako środków do budzenia czy podtrzymywania uczuć podniosłych, w ogóle jednak umiał on nietylko patrzeć na nią okiem malarza, stwarzając taki stubarwny kalejdoskop obrazów jak np. „Kościeliska", ale w jej tajemnice potrafił zagłębiać sondę myśliciela. potrafił obcować z nią jak kochanek, potrafił z tych obserwacyj i z tych zagłębiań i obcowań stwarzać nastrój poetycki, w jakim niezbyt często spotykamy się w utworach największych poetów świata. Któż nie zna tak majestatycznego obrazu jak „Morskie Oko"? Któż nie zachwycał się wspaniałą „Nocą pod Wysoką", tą symfonją ciszy, tym potężnym hymnem na cześć myśli twórczej, ulatującej w „sfery gwiaździste, nurzającej się w źródle wiecznie żywem, wiążącej się, zlewającej i bratającej się z całą harmonią zaziemskiego świata" — zdala od wrzasku i wiru powszednich o najzwyklejsze potrzeby prowadzonych przebojów, zdala od dążeń i pragnień poziomych.

Wszystkie te utwory powstały w epoce zamieszkania w Krakowie, dokąd podążył poeta jeszcze w r. 1870, opuściwszy prozaiczny, dla rozwoju poezji przysłowiowo nie podatny, a nawet zabójczy grunt naszego kochanego Lwowa. W stolicy podwawelskiej pozostał też poeta do końca swego ciernistego żywota, tutaj pochował ojca (1885), tutaj zamieszkał też w domku na ulicy Łobzowskiej, pozostałym mu z znacznego mienia ojcowskiego, które jednak dzięki różnym niepowodzeniom stopniało do takich rozmiarów, że wielki poeta zmuszony był szukać zarobku dziennikarskiego. Przez długie lata — rozpocząwszy karjerę dziennikarską już we Lwowie, był Asnyk redaktorem „Nowej Reformy"; przywiązywała go do pisma wspólność przekonań i chęć służenia na tej drodze potrzebom społeczeństwa.

W Krakowie też mieszkając, zawiedziony podobno w pierwszej, silnej miłości, ożenił się z panną Kaczorowską, którą poznał był w Zakopanem. Niestety i w małżeństwie prześladowały go losy, zaledwie bowiem rok po ślubie utracił ukochaną, młodą żonę, która zmarła, pozostawiwszy mu syna, dziś słuchacza filozofji. Pobyt w grodzie krakowskim przerywał podróżami do Włoch, do Afryki i Indyj wschodnich, oraz wyjazdami do Zakopanego i Lwowa, zostawszy przez krakowski odłam stronnictwa demokratycznego wybrany posłem do sejmu.

Praca obywatelska, zarówno jako członka partji politycznej jakoteż prezesa Towarzystwa szkoły ludowej, nie wytrąciła mu lutni z ręki, nie osłabiła polotu jego wyobraźni. Utwory jego z ostatniej doby tym samym tchną czarem i siłą co i dawniejsze, a „Nad głębiami", cykl sonetów, w których poeta zawarł w przepysznych słowach swoje poglądy filozoficzne, jest jednym z najcudniejszych kwiatów poezji refleksyjnej.

Poza liryką zostawił zmarły kilka rozpraw literackich oraz szereg dramatów, pomiędzy którymi ze stanowiska poetyckiego pierwsze zajmuje miejsce pięcioaktowa tragedja „Kejstut", będąca równocześnie politycznym manifestem duszy poety, wymierzonym przeciw „Wallenrodyzmowi".

O poezji Asnyka, przepysznej pod względem formy, można powiedzieć to, co zmarły powiedział o poezji w ogóle, że — trawestuję jego słowa — porzuciła ona zużyte narzędzie, odmieniła swoje koryto, i w nowych myślach, uczuciach i czynie naprzód z wezbranym prądem życia płynie i z dawnych marzeń potargane nici — przerobiła w ciszy na strój inny, świeży, w którym znów serca stęsknione zachwyca nowych kochanków i nowych rycerzy. Na ziemi, na której łany rozlewał się płomień boży, goszczący w sercu wielkiego poety, padł dzisiaj cień żałoby i smutku: wieść o śmierci

Adama Asnyka przejęła boleścią wszystkich, co umieją myśleć prawdziwie i czuć prawdziwie.

Jan Kasprowicz.

List Jana Królikowskiego

do młodzieży uniwersyteckiej we Lwowie

(Drobny przyczynek do dziejów stosunków artystycznych i literackich lwowskich).

(Dokończenie)

Od lat dziecinnych prawie, oddany z zapałem sztuce, widząc w niej nie środek zarobkowania, lecz wyższe cele, aby ich dosięgnąć, poświęciłem wszystkie siły moje na zyskanie przedewszystkidm względów i uznania publiczności, bo czułem, że bez tej spójni, jaką daje z tej strony wiara i miłość, a ze strony aktora czyste nieograniczone poświęcenie się sztuce, scena nie może oddziaływać korzystnie na naród i zejść musi do stanowiska jakiejś ulicznej zalotnicy, co wyuzdanym, bezdusznym uśmiechem wabi przechodniów, aby im dać chwilową zabawkę, która w końcu niesmak i obrzydzenie po sobie zostawia.

Ileż to walk z brakiem potrzebnej wiedzy i nauki, ile pracy na zdobycie jej, choć w małej cząstce, ile nocy bezsennie spędzonych, w których często niedostatek, nędza prawie, mąciła i niepokoiła myśl o ukochanej sztuce i jej tajemnicach, ile, mówię, trzeba było przecierpieć i przeboleć w milczeniu, aby dojść do pierwszych granic trudnego zawodu do pozyskania i władania sercem publiczności! Ale odtąd z jakąż rozkoszą poczułem się w prawie nieść jej w ofierze (w miarę możności krępowanej okolicznościami) wszystko, co najwznioślejsze, co uszlachetnia, uczy i podnosi, to jest piękno i prawdę z gorącego serca płynącą. W zamian za to otrzymywałem stopniowo uśmiech zadowolenia, życzliwość, zrozumienie się wzajemne, wiarę w to, co jej niosłem i nakoniec najserdeczniejsze podziękowanie.

Czyż dziś, zająwszy takie stanowisko, nie jestem w obowiązku strzedz go od najmniejszej skazy? Czyż publiczność nie miałaby prawa wyrzucać mi i słusznie, że to, co z takim trudem zdobyłem, a ona z taką miłością mi daje, lekkomyślnie rzucam na pastwę garstce złych, czy głupich, którzy w porozumieniu i za pośrednictwem głównego organu opinji miejscowej *) cisnęli na mnie gradem obelg, bez względu na obowiązki gościnności i zasługi artysty, jak to po moim wyjeździe ze Lwowa, z ubolewaniem donosił warszawianom korespondent tamtejszy do Gazety muzycznej i teatralnej.

Pism waszych czytać tu nie możemy, niewiem więc jakiego rodzaju i jakiej doniosłości były te obelgi — czy one dotykały artystę, czy człowieka? Smuci mnie tylko, że niechęć, czy interes, czy wreszcie zazdrość doznanego powodzenia i tej odrobiny zdolności nabytej ciężką pracą, uciekła się aż do ubliżających poważnemu organowi obelg. Bronić się przeciw nim ani chcę, ani potrzebuję, bo obroną moją jest opinia, jest to serdeczne uznanie i współczucie całej publiczności polskiej — w końcu życie moje w cichym mozole dla ukochanej sztuki spędzone.

Gdyby ci pokątni szermierze wystąpili ze mną do walki zaszczytnej, jedni na polu rywalizacji w zdolnościach i pracy, a szanowny krytyk na polu bezinteresownego, bezstronnego starcia się zdań w pojęciach o sztuce i grze aktora, z radością i braterskim uściskiem ręki przyjąłbym ich wyzwanie, bo byłaby to walka, która bynajmniej nie rozdwaja, nie obraża, nie rodzi nieprzyjaźni, ale owszem jednoczy i łączy węzłem jednakich dążności — szlachetna emulacja, poparta rzetelną pracą i prawdziwą miłością sztuki, wypadłaby na jej korzyść, gdy tymczasem interes osobisty, zazdrość, głupia zarozumiałość przy ograniczonych zdolnościach i zaniedbaniu, a bardziej jeszcze pokątne, brudne intryżki, poniżają i samą sztukę i jej reprezentantów i odejmują jej całą wzniosłość celów!

Wstyd pomyśleć nawet, mój drogi, że w nas najlepsze nieraz chęci, cała praca około dobra w jakimkolwiekbądź kierunka, roztrąca się o te małostki. Aby w każdej chwili na każdym kroku potykać się o nie i zwyciężać je, potrzeba zimnej krwi, lekceważenia, albo równej siły w intrydze, a tych przymiotów brak mi, wyznaję, i to właśnie powód, który mnie wstrzymuje od spełnienia najmilszej chęci odwiedzenia was.

Za to jednak zaszczytne zaproszenie, za ten chlubny dowód uznania, które jest najwyższą nagrodą wieloletnich trudów aktora, niech raczą przyjąć te poczciwe, prawdą i pięknem bijące serca, szczere z głębi duszy podziękowanie, a razem życzenie dla całego starego grodu Lwowa, tak prawdziwie miłującego sztukę dramatyczną, aby scena jego jak najrychlej wejść mogła na drogę rozwoju, przynoszącego korzyść i chlubę krajowi. Warunki

*) Gazeta Narodowa.

sprzyjają — potrzeba tylko wspólnej, dobrej woli, a przedewszystkiem, aby ludzie, którzy dotąd nie mogą się pogodzić z myślą, że bezsilne, zestarzałe wielkości, muszą w końcu ustąpić nowym, rozwijającym się zdolnościom, że teatr nie może i nie powinien być jak dawniej li tylko źródłem czerpania zysków pieniężnych, zrobili ustępstwo z niedorzecznego uprzedzenia i chciwości materjalnej, na korzyść i dobro instytucji tak użytecznej, a tem samem koniecznie potrzebnej krajowi i zjednoczonemi siłami starali się ją podnieść.

No, dosyć tego! Jeżeli uznacie, że nie mam słuszności, poddam się wyrokowi waszemu. Radbym szczerze, aby powody, które mnie wstrzymują, nie istniały, bo gościłbym częściej między wami, ale trudno!....

* * *

Podpis oryginalny Królikowskiego pozostał w tej części listu, która została w posiadaniu jego brata. Jak wypadł ów „wyrok“, którego domagał się Królikowski od młodzieży nie wiemy, ale to wiemy, że długo potem nie widziano go już na scenie lwowskiej.

J. A. Sierpniak

Aleksander Jabłonowski.

POLSKA XVI. WIEKU

pod względem

geograficzno-statystycznym.

Tom IX. Ziemie ruskie. Ukraina. Warszawa 1897.

(Dokończenie).

Na właściwej Ukrainie, w owej epoce rola początkowo nie ma wielkiego znaczenia, a potem ledwo podrzędne. Osady powstają dla skuteczniejszej eksploatacji wchodowej „wchodniczej“, t. j. myślistwa, rybołóstwa, pasiek i t. p. Podstawą wzmagającego się osadnictwa był zawsze kmieć, który do nowo powstających ukraińskich włości przybywał z inicjatywy, na rozkaz, czy przy zachęcie tylko swych własnych panów. Jednocześnie także potężniał prąd zbiegostwa, którego odtąd żadna czujność, żadne pościgi, żadne surowe konstytucje sejmowe powstrzymać nie były w stanie. Popierali zbiegostwo przedewszystkiem osadzcy, wsparci powagą wielu dziedziców, oraz pobłażliwością co do wychodźtwa ziemian przez takowe nie dotykanych. Nie należy jednak zbiegostwa przypisywać uciskowi poddanych; odegrywała w tem przeważnie rolę czekająca na Ukrainie wychodźców długoletniość woli. Trzeba było być bardzo zasiedziałym na swem siedlisku gospodarzem, by się nie dać skusić ponętą 20 lub 30-letniej słobody, ogłoszonej choćby i w oddalonej włości.

Nie mogę zajmować się dłużej dziejami osadnictwa, skreślonemi niezmiernie żywo i pouczająco przez autora, gdyż zaznaczenie nawet najdonioślejszych objawów zmusiłoby mnie do przekroczenia rozmiarów zwykłego sprawozdania. Pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę czytelnika na rozdział pracy przedstawiający ludność Ukrainy, znajduje się bowiem w rozdziale powyższym historja kozaczyzny, pomijająca wszystkie legendy i opowieści, nie poparte źródłami dziejowemi, a rzucająca dużo nowego światła na powstanie i rozwój tej klasy ludności, którą przywykliśmy nazywać kozakami.

Zdaniem autora, kozacy, była to klasa społeczna, jakiej zgoła nie posiadały inne ziemie, dotykające nawet Ukrainy, jak Wołyń i Podole. Wyraz „kozak“ pochodzi z turańskiego i oznacza junaka. Wnieśli go do nas naprawdę Tatarzy, drogami różnemi, a przy odmiennych okolicznościach na grunt różny. Na Ukrainie w XV-ym wieku kozakiem zwano chudego pachołka, nikomu nie poddanego, a pragnącego służby za pieniądze. Podstawą potężnienia kozactwa było wzmagające się wciąż zagarnianie pod swe chutory coraz rozleglejszych obszarów pustyniami leżącej, hospodarskiej i niehospodarskiej ziemi.

Każda kupa znaczniejsza, orężnie łotrująca gdziekolwiekbądź, zwana była kozakami: ale przedewszystkiem kozakami pozostawali ci, co chodzili na Niż na krwawe zapasy z bisurmanami. Starostowie ukrainni do tej właśnie odwoływali się warstwy, ile razy tego zachodziła potrzeba, czy dla obrony, czy dla odwetu, nie mówiąc już o czatach i stróży. Istota jednak nieposłuszeństwa kozaków po włościach, która tyle groźnych burz sprowadziła na rzeczpospolitą, nie tkwiła bynajmniej gdzieś na Niżu dnieprowym. Ziarno owego nieposłuszeństwa tkwiło w starostwach ukrainnych, w postaci kozaków bojarów, którzy w miarę zdobywania siły faktycznej stawali się coraz to bardziej nieposłusznymi.

Ze wszystkich dzieł opisujących Polskę wieku XVI-go pod względem geograficzno-statystycznym, niewątpliwie „Ukraina“ pana Jabłonowskiego przyniosła najwięcej nowego światła, zdobytego wyjątkowym trudem i starannością. Jeżeli dzieło p. Jabłonowskiego przedstawia jakiekolwiek braki, to te są wypływem niedostatecznego materjału źródłowego;

którego pomimo wszelkiej zabiegliwości odszukać się autorowi nie udało. Z tem wszystkiem jednak dzieło p. Jabłonowskiego przedstawia się nawet najwybredniejszemu badaczowi, jako dojrzały owoc wytrwałej i sumiennej pracy. Naukowej treści i nowych a źródłowo uzasadnionych poglądów w niej dużo i niewątpliwie w literaturze specjalnej pozyska sobie trwałe i zaszczytne prawo obywatelstwa.

(Kurjer Warsz.) *A. Rembowski.*

Jak się bawimy u siebie.

(Kartka z życia litewskiego).

I.

Dwudziestego szóstego lipca na świętą Annę zebraliśmy się na imieninach pani N. w Kaliczach. Pogoda dopisała prześlicznie. Po jasnym dniu upalnym nastał wieczór cichy, pogodny. Na przezroczystych błękitach snuły się barwy różowe; za lasy kładła się złota, promienna głowa słońca i pęki złoto-krwawych promieni strzelały z ukosa po przez gąszcze ogrodu, przejrzystem złotem kładły się na aksamit trawników, zawisały na kraśnych różach, na makach, na snopach strzelistej delphinii. Gwar ptactwa w powietrzu brzmiał radośny; co żyło, spieszyło do gniazd z wielkim rozhoworem szczebiotu, z pofruwaniem drobnych skrzydełek. Jaskółki poćwirkując, zataczały ogromne kręgi w błękicie, mrugając lotnemi skrzydłami, a z pobliskiego łanu pszenicy przepiórka wdzięcznym głosikiem nawoływać już poczęła: pójdźcie żąć, pójdźcie żąć!

Niewielu z nas jednak słuchało głosu wieczornej pracownicy; bo stokroć donośniejszy od odgłosów pól i ogrodu i stokroć weselszy, był gwar gości na obszernej werendzie, dokoła rozstawionych stołów, przy wieczornej herbacie zebranych.

Był tam stół starszych i stół młodzieży i jeszcze parę małych stolików na uboczu, gdzie przysiadł się kto chciał, komu miejsca zabrakło, kto pomówić z kimś chciał na stronie.

Wszędy gwar był żywy, lecz naturalnie, najżywszy przy stole młodzieży.

Skąd się tam brały te co chwilę wybuchy szczerego śmiechu, te nadzwyczajne wypadki z pękającemi niespodzianie szklankami, z niespokojnemi miseczkami konfitur, czemu krzesła krążyły i nawet stół nie chciał stać w miejscu, skąd brały się te pszczoły do złocistych plastrów miodu przyczepione, te osy wśród zielonych stosów ogórków ukryte, a później znienacka tak straszliwie brzęczące dokoła głów pochylonych — tego z pewnością niktby wytłumaczyć nie umiał, najmniej to roześmiane grono panien, panienek, studentów, uczniów, których rój cały na podobieństwo owych pszczół brzęczał na obszernej werendzie, w obliczu szeroko roztoczonego krajobrazu sielskiego i rozmarzonych po nad nim niebiosów.

Państwo N. ludzie majętni, wiekowi już a bezdzietni lubili otaczać się weselem i gwarem młodości. Na lato zbierało się tu liczne grono uczącej się po szkołach, pensjonatach i uniwersytetach młodzieży, na ten czas ciche i poważne Kalicze przeradzały się w przybytek szczerej a gwarnej uciechy.

Gościnność, szczerość, pozostawienie gościom zupełnej swobody, a nadewszystko wielka sercowość gospodarzy, czyniły tu pobyt nad wyraz przyjemny; wielka zaś prawość w poglądach obok zachowania miłych naszemu sercu starych obyczajów, dawały poważne i głęboką cześć wzbudzające podstawy, które sprawiały, że mimo roztrzpiotania zawsze się tu młodzież poczuwała do wielkiej, bez więzów obowiązującej karności.

Siostrzenica pani domu, niewyczerpana w pracy, energji i pomysłach panna Marja, aby oszczędzić ciotce kłopotu podejmowania licznego grona gości, przyjęła na się obowiązek nie tylko domowego krzątania się lecz czuwania i pomocy wszelakiej, jakiej młodzież często potrzebowała.

(Ciąg dalszy nast.) *W. Dalecka.*

Rozbiory i sprawozdania.

Wilhelm Liebknecht. — Czy Europa ma skozaczeć?— Przyczynek do kwestji wschodniej. — Londyn. — W drukarni Związku zagranicznych socjalistów polskich. — 1897.

Książeczka ta pojawia się bardzo na czasie jako doskonałe antidotum na tę truciznę zwątpienia, którą ugodowcy wlewają do umysłów. Tym, co chcieliby w nas wmówić, że nam nic niepozostaje jeno wcielić się organicznie czy wejść nieorganicznie do państwa zaborczego, powinnaby zamknąć usta wymieniona w tytule rozprawa, która z całą siłą przekonania wykazuje, że wolna ludowa rzeczpospolita polska jest koniecznym warunkiem rozwoju wolności ludów europejskich, a więc istnieć musi i będzie. Przeciwko zbrodniczej agitacji ugodowców najlepszą kontragitacją byłoby jak największe rozpowszechnianie tej książeczki, co ułatwia ogromna onej taniość.

Broszurka obecna składa się w znacznej części z artykułów, które Liebknecht pisał podczas ostatniej wojny ro-

syjsko-tureckiej, i daje ważne świadectwo przenikliwości politycznej autora, albowiem sprawdziło się to, co przepowiadał i przed czem przestrzegał naród niemiecki. Dyplomacja rosyjska, która w bezczelności, wykrętności i niewybredności w środkach prześcignęła wszystkie inne, opanowała gabinety europejskie. Można powiedzieć, że Europa moralnie jest już skozaczona. Republikańska Francja idzie na pasku za Rosją. Już nie poselstwo paryskie, ale sam Paryż ściele się u stóp cara. Lecz Warszawa, nie ta ugodowa, która dzisiaj głośno krzyczy, ale Warszawa ludowa nie zapomniała i nie zapomni, że spadkobiercy chanów tatarskich, wnukowie Wasylów i Iwanów, wydarli jej skarb najdroższy: niepodległość narodową.

Kwestja narodowościowa w tem jej znaczeniu, że każdy naród ma prawo do samorządu, zagłuszana lub pomijana w ostatnich latach, znowu stanęła na porządku dziennym skutkiem powstania na Kubie, rzezi w Armenji, powstania na Krecie i wojny grecko-tureckiej. I rzecz naturalna, stanęło także przed oczami krwawe widmo rozdartej Polski. — Ależ to co innego! zawołali niektórzy obrońcy uciśnionych narodów. Usprawiedliwiony patrjotyzm u Armeńczyków i Kreteńczyków, to u Polaków — szowinizm. Liebknecht z całą stanowczością i surowością napiętnował tego rodzaju idjotyzm moralny, jeżeli nie co gorszego jeszcze. »Polska — powiada znakomity autor — to kamień probierczy dla zapałów narodowościowych. Kto rozczula się nad Armeńczykami i Kreteńczykami a niema sympatji i współczucia dla Polaków oraz nienawiści i przekleństwa dla morderców Polski, ten jest albo bezmyślnym gadułą, albo nikczemnym komedjantem i obłudnikiem, albo też..... zasmakował w rublach rosyjskich«. I jeszcze jest jedna kategorja: zacietrzewionych, który w swojem zacietrzewieniu stają się wprost niepoczytalnymi. Tym nie można uczynić zarzutu nieuczciwości, i są oni nawet do pewnego stopnia szczerzy, i właśnie dla tego są często szkodliwsi od płatnych lub bezmyślnych pismaków lub agitatorów.

Do tej kategorji zaliczam tę grupkę — na szczęście maluczką, która ze skrajnej lewicy, gdzie sama siebie mieści, podała rękę stańczykom i zaczyna z niemi zgodnie śpiewać o organicznem wcieleniu. Wstrętną swoją robotę osłaniała ona modnym płaszczykiem materjalistycznego pojmowania dziejów, bo — jak bardzo trafnie zauważał Liebknecht — »materjalizm dziejowy daje z siebie robić, co się komu podoba. Manewrując *kapitalizmem* to na prawo, to na lewo, raz dowodziła, że rozwój onego czyni koniecznem zrośnięcie się organiczne rozdartej Polski z zaborami, to znowu, że dla rozwoju kapitalistycznego potrzebnym jest rozbiór Turcji i oswobodzenie narodów ujarzmionych, a kiedy zwracano na to uwagę, że agitacja anti-turecka wspiera plany rosyjskie, uspakajała, że nie myśli o wojnie z Turcją ani o rozbiorze onej, gdyż kapitalistyczny rozwój Rosji zmusza go do polityki pokojowej. »Kto widział — powiada Liebknecht — jak niemiecki kapitalizm, bez porównania wyżej rozwinięty niż kapitalizm rosyjski, popierał zaborczą politykę Bismarka i hojnie podsycał ją dostarczaniem środków materjalnych, ten śmiać się tylko może z takich dzieciństw.

Sprawa kreteńsko-grecka silnie poruszyła umysły w Europie. Francja socjalistyczna przypomniała sobie Wielką Rewolucję, która powoływała wszystkie narody do niepodległości. We Włoszech organizowały się hufce zbrojne. Weteran w walkach wolnościowych, Amilkar Cipriani, stanął na czele boju, sławny organizator Sycylijski De Felice i dzielny Nicola Barbato, obaj deputowani, zbrojnie walczyli. W bitwie pod Domokos, gdzie legja włoska po bohatersku stawiła opór naciskowi tureckiemu, poległ deputowany Frutti. I gdyby nie widmo intryg i zaborczości caratu rosyjskiego, agitacja w sprawie Kreteńczyków i Greków przybrałaby o wiele większe jeszcze rozmiary.

W poprzedzającym rozprawę Liebknechta artykuł p. t. „Socjalizm a kwestja wschodnia" który — nawiasem mówiąc — objawia duży talent publicystyczny, autor tego artykułu W. Jodko, zapytuje: jaką korzyść mogłaby przynieść sprawie socjalizmu agitacja za Armenją i Kretą? Mojem zdaniem — tak stawiać pytania nie należy. Jeżeli sprawa Armeńczyków i Kreteńczyków jest słuszna, to socjaliści, walcząc przeciwko wszelkiej niesprawiedliwości, nie mogli być dla niej obojętni. A cóż słuszniejszego, jak żądanie Kreteńczyków, ażeby mogli sami rozporządzać swoim losem? „Turcja — powiada dalej autor — nie grozi niczem rozwojowi demokracji w Europie, gdy Rosja jest jej wrogiem i to najgroźniejszym ze wszystkich". Niezawodnie, wybierając z dwojga złego, lepsze jest panowanie tureckie na półwyspie Bałkańskim od możliwego tam panowania rosyjskiego. Ale czy oswobodzenie się narodów bałkańskich z pod przemocy tureckiej istotnie toruje drogę panowaniu rosyjskiemu? Historja nie zdaje się tego potwierdzać. Liebknecht, który zaprzecza temu, jakoby chrześcijańskie państwa półwyspu bałkańskiego stanowiły tamę dla Rosji, przyznaje jednak, że Rumunija całkowicie się wyzwoliła z pod wpływu rosyjskiego. Przypuśćmy, że Serbija i Bułgarja nie wyemancypowały się jeszcze ostatecznie, to w każdym razie istnieje tam narodowe stronnictwo, które wciąż wzrasta w siłę i pojmuje dobrze, czem jest carat rosyjski. Na dowód mogę przytoczyć drukowane w *La Petite République* listy wielce uzdolnionego publicysty bułgarskiego, F. Rakowskiego, który właśnie w oswobodzeniu narodów bałkańskich i w związku ich federalnym z sobą widzi najskuteczniejszą przeszkodę do owładnięcia Konstantynopola przez Rosję. I nie kapitalizm, ale „niewdzięczność narodów oswobodzonych", jaką Bułgarowie okazali, skłoniła carat rosyjski do bronienia całości państwa tureckiego. Spodziewa się on, że łatwiej uda mu się zdusić sułtana, otoczywszy go swoją „przyjacielską" opieką i samemu zająć jego miejsce, aniżeli wymódz od coraz i niewdzięczniejszych i krnąbrniejszych ludów bałkańskich, ażeby uznały go za swego p r a w o s ł a w n e g o cara.

Oprócz dawniejszych artykułów, Liebknechta, znajdujemy w książeczce także drukowany w bieżącym roku obszerny jego artykuł: „Kreta a socjaldemokracja" z którego urywki podawały z wielkim uznaniem nasze pisma polskie, a nadto dwa ciekawe listy Marxa, pisane w 1878 roku, z powodu sprawy wschodniej. Wydawcy uzupełnili książeczkę wyciągami z mów, wygłoszonych w lutym 1878 r. w parlamencie niemieckim, i postarali się o to, że Liebknecht napisał przedmowę do polskiego wydania. Książeczkę przytem zdobi wcale udatnie wykonany portret tego zacnego i dzielnego szermierza wolności ludów europejskich.

Bolesław Limanowski.

Z drukarni Z. Golloba.